

Okupacja niemiecka ziem polskich (1939–1945) w historiografii polskiej i niemieckiej

30 czerwca 2007 r. w siedzibie Biura Edukacji Publicznej Instytutu Pamięci Narodowej w Warszawie odbyła się dyskusja poświęcona polskiej i niemieckiej historiografii dotyczącej okupacji nazistowskiej obszarów Rzeczypospolitej, a także perspektyw badawczych tego problemu. Udział w rozmowie wzięli: dr hab. Andrzej Gąsiorowski, dr hab. Ryszard Kaczmarek, dr Sebastian Piątkowski i prof. Klaus Ziemer.

Sebastian Piątkowski – W imieniu redakcji „Pamięci i Sprawiedliwości” witam Panów i dziękuję za udział w spotkaniu, którego celem jest przedyskutowanie dorobku i perspektyw rozwoju historiografii polskiej i niemieckiej, dotyczącej lat 1939–1945 w Generalnym Gubernatorstwie i na ziemiach polskich, włączonych do Rzeszy. Rozpoczynając rozmowę, pragnę zapytać Panów o opinie na temat literatury naukowej poświęconej okupacji, powstałej w Polsce i obu państwach niemieckich przed 1990 r. Czy istnieje możliwość dokonania jej całościowej oceny i wykazania trendów w niej dominujących?

Andrzej Gąsiorowski – Przede wszystkim pamiętajmy, iż mówimy o okresie, w którym ogromny wpływ na historiografię wywierała cenzura, dotycząca nie tylko kwestii wydawniczych, ale także problemów badawczych. Aby podjąć pewne tematy, a zwłaszcza uzyskać wstęp do niektórych archiwów, trzeba było uciekać się do podstępów: zgłaszać inne projekty, a dopiero przy ich okazji zajmować się tym, co nas rzeczywiście interesowało. Dzisiaj młodzi badacze nie rozumieją, jak trudno było wielu osobom godzić etykę zawodową z autocenzurą, niezbędną, gdy się chciało opublikować tekst. Prowadząc badania, musieliśmy przełamywać nie tylko opory instytucji, ale także bariery psychologiczne świadków zdarzeń, którzy z nami rozmawiali. Członkowie organizacji konspiracyjnych dowiadywali się od nas o rzeczach, których nie znali, my z kolei zdobywaliśmy informacje o sprawach nieznajdujących odzwierciedlenia w dokumentach. Ze względu na powojenne represje, które dotknęły wiele osób, rozmowy te były bardzo trudne i nierzadko trzeba było kilku długich spotkań, by ktoś się otworzył i zechciał podzielić swą wiedzą.

Ryszard Kaczmarek – Oczywiście, to prawda. Zacząłem zajmować się tematami okupacyjnymi pod koniec lat osiemdziesiątych, kiedy dostęp do źródeł i możliwości podejmowania badań całkowicie się zmieniły. Uważam jednak

– i chyba wszyscy obecni zgodzą się ze mną – że w pewnych obszarach dotyczących wojny polska historiografia z okresu wcześniejszego ma się czym pochwalić. Największy dorobek, zwłaszcza w zakresie historii gospodarczej i zagadnień prawno-państwowych, mają ośrodek poznański z Czesławem Łuczakiem na czele i ośrodek wrocławski z nieżyjącym już, niestety, Kazimierzem Jońcą. W Warszawie, w ramach Instytutu Historii PAN, działał zespół kierowany przez Czesława Madajczyka, z którym współpracował ściśle Franciszek Ryszka. Te trzy ośrodki rozwinęły badania, których rezultaty były dostrzegane nie tylko w kraju, ale także w Europie Zachodniej, a przede wszystkim w RFN. Publikowano dużo, prezentując najważniejsze ustalenia na międzynarodowych kongresach historycznych. To znaczący dorobek, aktualny do dzisiaj; wystarczy zresztą popatrzeć na odwołania i cytaty w publikacjach ukazujących się obecnie.

Klaus Ziemer – W Niemczech zainteresowanie problematyką okupacji ziem polskich było do końca lat pięćdziesiątych bardzo słabe. Dopiero po słynnym procesie zbrodniarzy wojennych w Ulm zaczęto mówić głośno, że ich czyny to być może nieodosobniony przypadek. Wówczas to w Ludwigsburgu założono istniejącą do dziś centralę ścigania zbrodni nazistowskich, przy niej – z biegiem czasu – ogromne archiwum, a kilka lat temu ośrodek badawczy. Polska nie była jednak obecna w szerszej świadomości społecznej jako miejsce zbrodni. Zmienił to jerozolimski proces Adolfa Eichmanna z 1961 r., a potem proces we Frankfurcie nad Menem (w latach 1963–1965) załogi obozu koncentracyjnego Auschwitz. Z biegiem czasu w RFN zaczęło się ukazywać coraz więcej prac poświęconych okupacyjnym losom Polski, jak np. głośna książka Martina Broszata¹ czy opracowania Czesława Madajczyka. Pomogło to w nawiązywaniu kontaktów pomiędzy badaczami z obu krajów. Dla historyków z Niemiec dostęp do polskich źródeł był jednak bardzo ograniczony z przyczyn językowych. W ich pisarstwie widać także wyraźnie zainteresowanie przede wszystkim strukturami; pytają o to, jak funkcjonował system nazistowski, jakie były kompetencje poszczególnych instytucji, czy mieliśmy do czynienia z totalitarną dyktaturą czy z instytucjonalnym chaosem i rywalizacją o kompetencje między różnymi organizacjami. Zawsze dominowało też patrzenie na okupację z perspektywy centrali. Stan taki trwał właściwie do 1989 r.

Ze swych prywatnych doświadczeń mogę dodać, iż jako maturzysta podczas lekcji historii w szkole chodziłem wraz z całą klasą na proces zbrodniarzy wojennych z Pomorza, który toczył się w moim rodzinnym mieście. Było to bardzo ciekawe doświadczenie. Czytałem też książki o zbrodniach popełnionych przez Niemców w Polsce i myślałem, że reprezentuję przeciętny stan wiedzy społeczeństwa niemieckiego o tych wydarzeniach. Dopiero później uświadomiłem sobie, że rzeczywistość wyglądała inaczej, że społeczeństwo mało wiedziało na ten temat. Gdy w 1 września 1999 r. zaproszono mnie do Wielunia, bym wygłosił przemówienie o drogach pojednania polsko-niemieckiego, to – przyznam szczerze – nie wiedziałem wtedy zupełnie, co Wieluń ma wspólnego z 1 września 1939 r. Kiedy dowiedziałem się o zaszyłych tam wydarzeniach, myślałem, że to po prostu niemożliwe: jednego dnia zginęło ponad tysiąc osób

¹ M. Broszat, *Nationalsozialistische Polenpolitik 1939–1945*, Stuttgart 1961.

i w Niemczech nikt nic o tym nie wie. To był bolesny początek naszego projektu o roli Wehrmachtu w kampanii wrześniowej.

Ryszard Kaczmarek – Obserwując pracę historyków niemieckich w tym okresie, miałem zawsze wrażenie, że problemem były dla nich nie tylko ograniczenia językowe, o których była przed chwilą mowa, ale brak zainteresowania materiałami znajdującymi się w Polsce. Brakowało chęci, a dążenie do pogłębienia badań o okupacji Polski pojawiło się dopiero w latach osiemdziesiątych przy okazji zainteresowania Holocaustem. Co ciekawe, badania rozpoczęte wówczas w Niemczech nad tą tematyką były znacznie intensywniejsze niż u nas.

Klaus Ziemer – To prawda. Pamiętajmy także, że nawet w latach siedemdziesiątych, kiedy dominował wspomniany przeze mnie paradygmat strukturalny, zajmowano się systemem, a nie konkretnymi ludźmi, którzy popełniali zbrodnie. W RFN nawet ruch studencki interesował się przede wszystkim strukturami, przyjmując, że dojściu nazistów do władzy był winien system kapitalistyczny, panujący w międzywojennych Niemczech. W NRD nie pytano o nic, bo wina kapitalizmu monopolistycznego była w tym kontekście nie do podważenia. Jeżeli w dyskusjach pojawiali się sprawcy, to przede wszystkim wówczas, gdy w RFN zajmowali jakieś eksponowane stanowiska publiczne. W Niemczech Wschodnich historycy mieli problemy z wydawaniem prac o zbrodniach hitlerowskich w Polsce, bo niektóre treści nie odpowiadały paradygmatowi klasowemu.

Sebastian Piątkowski – Bezsprzecznie są tematy, których w dorobku polskiej historiografii nie można zdyskwalifikować. Oprócz prac syntetycznych wydano wiele bardzo wartościowych publikacji regionalnych. Oczywiście, dostęp do źródeł, łatwość publikowania i tym podobne kwestie wiązały się z upowszechnianiem państwowej wizji przeszłości, akcentującej męczeństwo społeczeństwa, heroizm walki oraz dominację w tej ostatniej sił postępowych. Nie zmienia to jednak faktu, że zrobiono bardzo dużo dla poznania wydarzeń września 1939 r., martyrologii wsi, czy też funkcjonowania obozów koncentracyjnych. Można jednak sporządzić dość długą listę tematów, zwłaszcza odnoszących się do spraw społecznych, których podjąć nie było można. Kiedy już pojawiły się takie możliwości, nagle okazało się, że nie ma chętnych do prowadzenia badań. Z czym się wiązało, Panów zdaniem, odsunięcie na boczny tor na blisko dekadę problematyki okupacji niemieckiej? Czy zmęczyliśmy się corocznymi uroczystościami, składaniem wieńców i całą tą świecką obrzędowością, czy też kluczową rolę odegrały np. możliwości badania Kresów Wschodnich i wielkie zapotrzebowanie społeczne na wyniki takich prac?

Andrzej Gąsiorowski – Duży spadek zainteresowania okupacją niemiecką był oczywiście zauważalny. Widziałbym w tym zarówno przejaw odreagowania, jak i naturalnego dążenia do wypełnienia białych plam, połączonego z przeświadczeniem, że świadkowie wydarzeń na Kresach Wschodnich odejdą już niedługo. Przełom 1989 r. był zauważalny także w innych sferach, choćby w badaniach nad konspiracją. Kiedy rozmawiając ze świadkami wydarzeń, przełamaliśmy

bariery i zostaliśmy zaakceptowani przez naszych rozmówców, usłyszeliśmy rzeczy, o których nie mówili oni nikomu, nawet najbliższej rodzinie. Przyznawali się do przynależności do Narodowych Sił Zbrojnych, a wcześniej utrzymywali, że byli członkami Szarych Szeregów czy Armii Krajowej. Tłumaczyli nam, że musieli tak twierdzić, gdyż inaczej odebrano by im uprawnienia kombatanckie. Mieliśmy problem, jak to opisać, nie dekonspirując ich.

Sądzę, iż w wielu środowiskach pojawiło się przeświadczenie, że w imię budowania wspólnej Europy lepiej będzie niektóre tematy wyciszyć i dążyć do szukania tego, co łączy, a pomijać problemy najbardziej kontrowersyjne, utrwalające podziały.

Ryszard Kaczmarek – Moim zdaniem, w latach dziewięćdziesiątych w Polsce pojawiło się i utrwaliło przekonanie, że badania nad okupacją hitlerowską są już właściwie zamknięte i w tej sferze wszystko już zrobiliśmy. Mówię przede wszystkim o problemie eksterminacji ludności polskiej, bo oczywiście kontynuowano prace nad historią Polskiego Państwa Podziemnego, co więcej, pojawiły się nowe źródła i możliwości badań. Nastąpiło też przekierowanie badań – zajęto się pracami porównawczymi nad totalitaryzmami, przestano zaś zajmować się wojną jako taką, a okupacja znikła gdzieś w rozważaniach dotyczących struktur. Dopiero po blisko dekadzie okazało się, że nie wszystko zostało przebadane. Nagle uświadomiono sobie luki w historiografii dotyczącej Żydów polskich, pojawiły się problemy związane z szeroko pojętą kolaboracją, zaczęto wspominać o nieuchronności porównania okupacji na wschodzie z okupacją niemiecką.

Klaus Ziemer – Mogę to potwierdzić. Kiedy pod koniec lat dziewięćdziesiątych szukaliśmy młodych polskich historyków zajmujących się okupacją hitlerowską, aby skompletować zespół autorów do pracy zbiorowej o stosunkach polsko-niemieckich w latach 1939–1949², były z tym duże trudności, bo wszyscy pisali o Kresach Wschodnich. Rozumiem to: jeżeli przez dziesięciolecia coś było zabronione, wzbudzało potem naturalne zainteresowanie. W Niemczech w tym okresie było jednak zupełnie odwrotnie, gdyż obserwowano systematyczny wzrost zainteresowania polityką okupacyjną. Co więcej, historyków zaczęły interesować osoby, a nie tylko struktury. Zaczęto pytać coraz głośniej: kim byli ludzie, którzy dokonywali zbrodni, skąd pochodzili, jak wyglądała ich socjalizacja, jakiej zostali poddani indoktrynacji? Przełom spowodowało wydanie w 1992 r. słynnej książki Christophera R. Browninga o 101. Policyjnym Batalionie Rezerwy³.

Andrzej Gąsiorowski – Nie wiem, czy Panowie się ze mną zgodzą, ale uważam, że w Polsce inspiracje do badań nad okupacją niemiecką, zwłaszcza w sferze eksterminacji, płynęły z głównej i terenowych komisji badania zbrodni

² *Deutsch-polnische Beziehungen 1939–1945–1949. Eine Einführung*, red. W. Borodziej, K. Ziemer, Osnabrück 2000.

³ Ch.R. Browning, *Zwykli ludzie. 101. Policyjny Batalion Rezerwy i „ostateczne rozwiązanie” w Polsce*, Warszawa 2000.

hitlerowskich. W pewnym momencie struktury te zostały zlikwidowane, a ich akta przejął IPN. Instytut – zresztą zgodnie z zapotrzebowaniem społecznym – położył największy nacisk na problemy powojennej historii Polski i zaczął poruszać tematy okupacji niemieckiej jedynie pod kątem białych plam. Niewiele osób miało świadomość, że akta byłych okręgowych komisji badania zbrodni hitlerowskich zostały podzielone i tylko część materiałów zebranych podczas śledztw trafiła do archiwów, a wiele znajduje się nadal w gestii prokuratorów. Na tym tle dochodziło do dziwnych sytuacji: ja sam w pewnym momencie chciałem zajrzeć ponownie do akt, które przeglądałem już wcześniej, ale poinformowano mnie, że tych materiałów po prostu nie ma. Trzeba było naprawdę dużego wysiłku, by się dowiedzieć, iż leżą one w prokuratorowskiej szafie, gdzie i tak nikt do nich nie zagląda, ani z powodu śledztw, ani z powodu badań.

Sebastian Piątkowski – Co więcej, w pewnych wypadkach okazało się, że materiałów zebranych w trakcie śledztw nie ma ani w archiwach, ani w prokuratorowskich szafach, bo oryginały – i to jedyne egzemplarze – zostały przesłane do Ludwigsburga. Procedura taka była w pełni uzasadniona, bo przecież chodzi o to, by ustalić i sprawiedliwie osądzić sprawcę. Za późno jednak zorientowaliśmy się, że Niemcy nie nadają aktom przesłanym z Polski kategorii archiwalnej „A”, ale niższe, w związku z czym podlegają one szybkiemu brakowaniu i trafiają na makulaturę. Nikt chyba nie zaneguje faktu, że pracownicy głównej i okręgowych komisji badania zbrodni wykonali ogromną pracę, przesłuchując tysiące świadków i sporządzając wnikliwe kwerendy źródłowe. Chciałbym jednak kiedyś dowiedzieć się, ile osób zostało w Niemczech na podstawie tych akt oskarżonych i osądzonych. Statystyka taka byłaby chyba bardzo smutna.

Andrzej Gąsiorowski – W Ludwigsburgu wszczynano śledztwo, a po pewnym czasie do Polski przychodziła informacja, że nie można go dalej prowadzić. Najdziwniejsze było to, że strona polska nie miała dostępu do całej dokumentacji, wyjaśniającej takie stanowisko.

Klaus Ziemer – To jest bardzo wstydlivy wątek powojennych stosunków polsko-niemieckich. Polska dostarczała mnóstwa materiałów, prowadzono śledztwa, a nie zapadały prawie żadne wyroki skazujące. Dzisiaj musimy szczerze odpowiedzieć na pytanie, dlaczego tak było i naukowo opracować to zjawisko. Przede wszystkim w latach sześćdziesiątych mieliśmy do czynienia z pokoleniem prokuratorów i sędziów, którzy zdobyli wykształcenie w hitlerowskich Niemczech, a po wojnie funkcjonowali nadal w wymiarze sprawiedliwości. Traktowali oni akta przesyłane z Warszawy bardzo wstrzemięźliwie. W skrajnych sytuacjach, by umorzyć sprawę, stwierdzano po prostu, że dowody są stronnicze, bo wszyscy świadkowie to Polacy, a nie ma wśród nich żadnego Niemca. To, że panowała wówczas zimna wojna, tłumaczy taką postawę tylko częściowo.

Ryszard Kaczmarek – Wydaje mi się, Panie Profesorze, że przez długi czas w Niemczech nie było po prostu woli politycznej, aby doprowadzać do procesów i skazywać sprawców.

Klaus Ziemer – Dlatego mówi się też w Niemczech o „drugiej winie”. Kiedy eksponowane stanowiska zaczęło obejmować młodsze pokolenie, klimat stał się życzliwszy, ale wcześniej w wymiarze sprawiedliwości rządziła wyłącznie stara kadra. Dzisiaj, aby pociągnąć zbrodniarzy wojennych do odpowiedzialności karnej, jest już za późno. Tym bardziej uważam, że obowiązkiem historyków jest wyjaśnić wszystko do końca i pokazać społeczeństwu, co się wówczas stało. Dobrze, że literatura i filmy o okresie wojny spowodowały, iż w Niemczech dyskutuje się publicznie. Zwłaszcza zagłada Żydów jest dzisiaj obecna w świadomości całego społeczeństwa.

Andrzej Gąsiorowski – Czyli nastąpiło przełamanie psychologiczne?

Klaus Ziemer – Tak, od końca lat siedemdziesiątych. W szkole uczy się o tym nie tylko na lekcjach historii, ale również na lekcjach niemieckiego, religii itd. Tematyki tej jest może nawet zbyt dużo, a przesyt może wywołać u młodego człowieka reakcje zupełnie inne od zamierzonych przez nauczycieli. Wszyscy wiedzą, co to był narodowy socjalizm lub Holocaust, ale jednocześnie wiedza np. o powstaniu warszawskim jest jeszcze ograniczona. I to musimy też zmienić. Ale to jest już bardziej sprawa polityków niż historyków, bo w Niemczech mamy do czynienia z samodzielnością poszczególnych krajów związkowych w dziedzinie szkolnictwa. Istnieje wprawdzie wspólna, ogólnokrajowa komisja podręcznikowa, która daje władzom oświatowym bardzo dobre wskazówki i publikuje interesujące materiały, ale jej członkowie nie mają niestety wpływu na to, w jaki sposób te badania są wykorzystywane.

Sebastian Piątkowski – Z naszej rozmowy wynika, że zarówno w historiografii niemieckiej, jak i polskiej, dzieje się od pewnego czasu dość dużo. W naszej rozmowie poruszamy nieustannie wątek psychologii społecznej i osvajania się z nie zawsze wygodną prawdą. Czy sądzą Panowie, że jesteśmy już gotowi na wszystko? Czy stać nas np. na gruntowną i szeroko udokumentowaną pracę poświęconą chociażby kolaboracji Polaków z okupantem? Czy opublikowanie takiej książki byłoby dla jej autora naukowym samobójstwem?

Andrzej Gąsiorowski – Ten problem badawczy jest ogromnie ważny, ale nie sądzę, by obyło się tutaj bez wielkich emocji. Napisałem ostatnio książkę o jednym z funkcjonariuszy gdańskiego gestapo, próbując dociec przyczyn jego poczynań. Był to bardzo skuteczny pracownik operacyjny. W pierwszej części pracy omówiłem jego losy i działalność, a w drugiej modelowo wybrałem kilka postaci, aby pokazać, co się działo z ludźmi, których wciągnął do współpracy. Jedni z nich zostawali agentami i współpracowali lojalnie z gestapo, inni próbowali współpracę zerwać i podjąć ponownie działalność konspiracyjną. Po powtórnym aresztowaniu byli traceni, co stanowiło tragiczny finał próby naprawienia dawnych błędów. Pokazuję również tych, którzy zostali agentami gestapo, aby ratować swoje życie, a po wojnie nie ponieśli żadnej odpowiedzialności i zostali tajnymi współpracownikami Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego, szantażującego ich upublicznieniem informacji o zdradzie. Sprawy o kolaborację wszczynano wobec nich dopiero wówczas, gdy nie wywiązywali się ze swo-

ich bieżących zadań wobec UB. Pokazuję zatem dramaty ludzi, którzy ratowali swe życie, pytam jednak: za jaką cenę? Między innymi za cenę utraty godności. Niektórzy próbowali ponownie o tę godność walczyć, ale nie wszyscy. To są niezmiernie trudne tematy, dlatego że mało jest źródeł do ich badania i dotyka się sfery bardzo wrażliwej. Każdy przypadek trzeba traktować indywidualnie i nie ma wzorca, który można by zastosować.

Sebastian Piątkowski – Jeśli jednak weźmiemy do rąk pierwsze z brzegu wspomnienia np. z terenów wiejskich GG, niemal zawsze pojawiają się wątki tzw. małej kolaboracji: dziewczyny utrzymujące zbyt bliskie kontakty z Niemcami, sołtys pijący wódkę z żandarmami, granatowy policjant, który jest przesadnym służbistą. Nikt nie pokusił się jeszcze, by sprawy te zebrać, omówić i przeanalizować. Oczywiście, każdy naród chce powiedzieć o sobie: „to my byliśmy tymi dobrymi”. Akceptowanie wyłącznie czarno-białych wizji przeszłości mści się jednak na nas. Pamiętajmy np., że sprawa Jedwabnego eksplodowała w tym kraju jak granat.

Andrzej Gąsiorowski – Wydaje mi się, że historycy nie mogą uciekać od takich tematów. Powinni łamać schematy, pokazując np. tych Niemców, którzy pomagali prześladowanym i tych Polaków, którzy zachowali się niewłaściwie. Na razie faktycznie obracamy się w układzie „źli Niemcy” i „dobrzy Polacy”. Pamiętajmy, że w rzeczywistości akcenty te rozkładały się bardzo różnie. Mam jednak wrażenie, że w Polsce coraz częściej się o tym pisze i wątki takie pojawiają się w coraz większej liczbie publikacji. Jesteśmy powoli oswajani z tą problematyką i ktoś wreszcie powinien pokusić się o próbę jej monograficznego ujęcia.

Ryszard Kaczmarek – Tak naprawdę potrzebnych jest kilka monografii. Pamiętajmy, że istnieje niemalże całkowicie niezbadany obszar niemieckiej listy narodowościowej. Hasło „folksdojcz” budzi olbrzymie emocje, a warto byłoby zająć się tym tematem spokojnie i bez awantur. Kolejna kwestia to ocena wielkości strat. Niegdyś szafowano liczbami bez opamiętania i weszły one na trwałe do społecznej świadomości. Ktokolwiek próbuje zmierzyć się z tym problemem i choćby zasugerować, że zabitych, zamordowanych i rannych było w rzeczywistości mniej, zostaje od razu zaatakowany, iż prowadzi swe badania za czyjeś, nie chcę nawet powiedzieć czyje, pieniądze. Kontrowersje wiążą się także ze zwalczaniem ruchu oporu.

Andrzej Gąsiorowski – Nie zapominajmy, że konspiratorzy z premedytacją tworzyli atmosferę potężnego zagrożenia, strachu, wręcz psychozy społecznej. Nie musiały wcale iść za tym silne represje – najważniejsze było wrażenie. Z moich badań wynika, że kiedy w Toruniu aresztowano 100 osób, w prasie konspiracyjnej pisano, że było ich 1000. Najprostszym sposobem manipulacji liczbami było dopisywanie jednego zera. Profesor Włodzimierz Jastrzębski z Uniwersytetu Kazimierza Wielkiego w Bydgoszczy, nie tak dawno również bardzo krytykowany za sprawy związane z liczbami, wykazał ostatnio na przykładzie pracy dotyczącej polityki represyjnej w rejencji bydgoskiej, że jeżeli

porównamy zamieszczone tam szacunki z konkretnymi informacjami na temat egzekucji i ich ofiar, to relacja jest 10:1. Nie twierdzą, że tak jest w każdej książce, ale sądzę, iż historycy winni mieć świadomość, iż władzom ze względów propagandowych zależało niegdyś na wymowie wielkich liczb. Trzeba zmierzyć się z tym problemem i zapytać, czy naprawdę dwie zbrodnie różnią się skrajnie od siebie, jeżeli wynikiem pierwszej jest 5 tys. ofiar, a drugiej – 50 tys.? Czy naprawdę trzeba dopisywać to zero, aby mord podziałał na wyobraźnię? Powinniśmy być coraz dalsi od propagandy, a coraz bliżsi faktów. Nie zgadzam się z osobami mówiącymi, że zweryfikowanie strat będzie dla Niemców wodą na ich młyn, że otworzymy puszkę Pandory, że zrelatywizujemy wszystko i stracimy wiarygodność. Znam trochę Niemców i wydaje mi się, że bardziej trafi do nich wiedza rzetelnie udokumentowana, niż nadmuchany balon, który można zniszczyć jednym ukluciem szpilki. Czy Pan Profesor się ze mną zgadza?

Klaus Ziemer – Całkowicie. Przede wszystkim młode pokolenie jest nastawione do źródeł bardzo krytycznie i im bardziej są one wiarygodne, tym lepiej. To jest pewien etos badawczy i trzeba go szanować. Jeżeli obecnie dysponujemy lepszymi materiałami niż kiedyś, warto korygować poprzednie dane i przedstawić bardziej zróżnicowany obraz, chociaż może to wymagać odwagi. Czytałem ostatnio pracę Grzegorza Jasińskiego o powstaniu warszawskim na Żoliborzu⁴. Zrobiła na mnie wielkie wrażenie, gdyż autor pokazał na podstawie nowych źródeł kompleksowy, wiarygodny obraz wydarzeń, opisał zarówno bohaterstwo, jak i takie sprawy z życia powstańców, o których głośno się nie mówi. To bardzo ciekawe, że pracę taką może napisać młody Polak, który ma odpowiedni warsztat, własne przemyślenia i wyciąga głębokie wnioski.

Sebastian Piątkowski – A przede wszystkim ktoś, kto nie jest osobiście związany z tematem i nie czuje się zobowiązany do heroicznej obrony jakiejś wizji.

Klaus Ziemer – Oczywiście, bo przecież książka ta nie narusza w niczym etosu powstania warszawskiego, niczego nie zmienia w jego zasadniczej ocenie, ale daje nam jego pełniejszy, bardziej zróżnicowany i wiarygodniejszy obraz. Jeżeli dzisiaj zajmujemy się np. Wehrmachtem, pytamy nie tylko o jego działalność, ale również o to, jak był on oceniany przez społeczeństwo i jak na to społeczeństwo wpływał. Widoczne jest obecnie duże zainteresowanie badaczy okupacyjną administracją cywilną w Polsce, także pod kątem jej funkcjonariuszy, ich pochodzenia społecznego, wykształcenia itd. Badania, których rezultaty zostały przedstawione m.in. na konferencjach organizowanych wspólnie przez Niemiecki Instytut Historyczny w Warszawie i IPN, wykazały, że nie jest prawdziwy pogląd, jakoby o wszystkim decydował odgórny rozkaz. W terenie poszczególne instytucje ostro rywalizowały między sobą, każdy urzędnik chciał być bardziej gorliwy niż jego kolega i wykazać swoją przydatność. W konsekwencji mordowano z własnej inicjatywy, gdyż istniało przekonanie, że w Berlinie będzie to mile widziane. Powstała z tego swego rodzaju konkurencja.

⁴ G. Jasiński, *Żoliborz 1944. Dzieje militarne II Obwodu Okręgu Warszawa AK w Powstaniu Warszawskim*, Pruszków 2008.

Ryszard Kaczmarek – Z tego, co Pan mówi, wynika, że zmienia się spojrzenie na problem odpowiedzialności. Dotychczas rozkładała się ona pomiędzy anonimowych urzędników i funkcjonariuszy, a w rezultacie nikt nie czuł się winny. Stwierdzenie indywidualnej gorliwości pozwala sądzić, że odpowiedzialność spoczywająca na bezpośrednich wykonawcach jest większa, niż nam się poprzednio wydawało.

Klaus Ziemer – Tak jest. Widzimy to również w badaniach dotyczących poparcia poszczególnych środowisk i grup zawodowych – lekarzy, prawników, kadr uniwersyteckich – dla narodowego socjalizmu. Z jednej strony widać, że poparcie to było bardzo silne. Z drugiej, pojawia się jednak pytanie: co ludzie ci wiedzieli o zbrodniach na Polakach czy zagładzie Żydów? Czy faktycznie nie wiedzieli? Trudno na to jednoznacznie odpowiedzieć, ale sądzę, że badania te będą kontynuowane. Co kilka lat w Niemczech ktoś mówi głośno: dosyć tych dyskusji i denerwowania społeczeństwa przeszłością, czas zamknąć ten rozdział grubą kreską. Ale dla historyków grubej kreski nigdy nie będzie.

Andrzej Gąsiorowski – Wiele stereotypów jest zakorzenionych w świadomości młodego pokolenia. Moim studentom gestapo kojarzy się z bandą prymitywnych oprawców, którzy stosowali wyłącznie najbrutalniejsze metody: mordowali, bili i torturowali. Kiedy mówię im w czasie wykładów, że wszyscy szefowie gestapo byli doktorami prawa, przeżywają szok. Trudno im zrozumieć, że nie byłoby tego wszystkiego, gdyby wielu młodych, zdolnych ludzi nie oddało swoich najlepszych sił temu państwu, które było państwem zbrodniczym. To jest właśnie to słynne pytanie Browninga: co to za ludzie, którzy prowadzą niby-normalne życie i jednocześnie mordują tysiące ludzi?

Sebastian Piątkowski – Kulturalni i inteligentni.

Ryszard Kaczmarek – Myślę, że Polacy, obciążeni doświadczeniem jednej z najstraszniejszych okupacji, problem „zwyczajnego Niemca” wykonującego rozkazy zbrodniczego państwa mają głęboko zakorzeniony w świadomości historycznej. Chciałbym jednak wrócić do tematu kolaboracji. Zgadza się, że jest on u nas mitologizowany, głównie w opinii publicznej. Jakiś czas temu na konferencji w Poznaniu był panel poświęcony współpracy z okupantami i nie wzbudził większych emocji; toczyła się normalna dyskusja – co prawda na sali byli wyłącznie historycy. Za to pojawienie się w mediach słowa „kolaboracja” powoduje wybuch bardzo gorących emocji. Sądzę, że mają one dwa źródła. Po pierwsze, kolaborację u nas kojarzymy powszechnie z kolaboracją francuską – tak się złożyło, że ta państwowa współpraca z okupantem jest wzorcowym przykładem w polskiej historiografii. W zasadzie każda dyskusja sprowadza się do tego, że porównuje się Polskę do Vichy, co oczywiście nie ma większego sensu. Widziałbym mimo to potrzebę poruszania tej problematyki na płaszczyźnie porównawczej, gdyż jedynie wówczas można dobitnie wykazać, że ten proces wyglądał zupełnie inaczej w różnych krajach. W każdym przypadku, kiedy są to badania wykorzystujące źródła bezpośrednie, ale w ujęciu monograficznym, jest opisywany tylko fragment rzeczywistości, np. szmalcownicy,

konfidenti itd. Piszę się zresztą w ten sposób, by jak najdelikatniej naruszyć twierdzenie: kolaboracji nie było. Nie ma w ogóle dyskusji dotyczącej kolaboracji i kolaboracjonizmu, które to pojęcia w historiografiach obcych różnią się przecież bardzo wyraźnie.

Potrzebna jest nam odwaga i zdecydowanie. Jestem akurat z Górnego Śląska, gdzie kolaboracja była – z naturalnych względów, podobnie zresztą jak na Pomorzu – bardzo intensywna. Nawet jeśli przyjmujemy, że liczby w raportach AK czy Delegatury Rządu RP na Kraj są mało precyzyjne, to zauważmy, że pisze się w nich o 2,5–3 tys. konfidentów pracujących na rzecz gestapo. Dla 1943 r. podawana jest liczba dokładniejsza – 2700 osób. To już nie jest pojedynczy człowiek czy lokalne środowisko. To wręcz armia tajnych współpracowników, nierzadko pracujących w organizacjach konspiracyjnych, którzy za pieniądze zbierali informacje o wszystkich właściwie zagadnieniach interesujących Niemców.

Druga sprawa, która w historiografii odnoszącej się do terenów wcielonych do Rzeszy jest dość oczywista, chociaż w potocznej świadomości nie funkcjonuje, to obowiązki folksdojczów wobec okupacyjnego aparatu władzy. Nie jest istotne, czy mówimy o niemieckiej liście narodowościowej I czy II grupy, czy po prostu o Niemcach zamieszkujących ziemię polską przed wrześniem 1939 r. Są to obywatele naszego kraju, których negatywne postawy nie ograniczały się jedynie do złożenia podpisu na formularzu. Wielu z nich, zajmując różne stanowiska, czy też pełniąc określone funkcje lub będąc chociażby kandydatami na członków partii narodowosocjalistycznej, składało władzom regularne meldunki, z których zresztą sporo się zachowało. Nie są to donosy, ale – zgodnie z pragmatyką stosowaną w Rzeszy już w latach trzydziestych – raporty o stanie nastrojów społecznych, które przechodziły później przez kolejne szczeble wodzowskiej struktury. Mówię tylko o terenach wcielonych, gdyż w GG mamy odmienną sytuację, związaną z inną strukturą narodową. I tutaj jednak nie uciekniemy od tych problemów. Musimy je pokazywać w miarę precyzyjnie, a także relatywizować, lecz nie w negatywnym znaczeniu tego słowa. Pokażmy po prostu, jaki był zakres kolaboracji w Polsce, a jaki w innych krajach okupowanych. Jeżeli będziemy mówić o naszym kraju w sposób wyizolowany, każda próba zrealizowania jakiegoś większego przedsięwzięcia badawczego będzie odbierana jako chęć naruszenia narodowego mitu.

I jeszcze jedna kwestia. Kilkakrotnie wspominaliśmy dzisiaj o Wehrmachcie. Z nim również mamy problem, dotyczący jednak nie kolaboracji, ale opisu rzeczywistości. Przecież w armii niemieckiej służyły rzesze etnicznych Polaków, którym w zasadzie nie poświęcono dotychczas żadnej monografii. Kilka lat temu odnalazłem dane niemieckie, które często podają i które po dziś dzień są dla mnie szokujące: w listopadzie 1943 r. w Wehrmachcie służyło 250 tys. żołnierzy z Górnego Śląska wcielonych na podstawie folkslisty. Możemy spokojnie przyjąć, że do końca 1944 r. zmobilizowano kilkaset tysięcy młodych mężczyzn. Przecież wszyscy oni byli przed wojną obywatelami naszego kraju.

Andrzej Gąsiorowski – Jestem zaskoczony tą liczbą, bo dotychczas mówiło się o 200 tys. żołnierzy ogółem, w tym ok. 80–90 tys. z Pomorza.

Ryszard Kaczmarek – Ja również byłem ogromnie zaskoczony. Jest to dokument wystawiony przez Komendę Uzuppełnień w Katowicach, który dokładnie pokazuje liczebność żołnierzy z poszczególnych grup folkslisty.

Klaus Ziemer – W Niemczech też właściwie nie prowadzi się kompleksowych badań na tym polu. Pojawiają się wprawdzie interesujące prace dotyczące Górnego Śląska, które dobrze pokazują losy niewielkich miejscowości i pojedynczych ludzi. Nie zbliżają nas one jednak ani o krok do odpowiedzi na pytania o losy żołnierzy, o to, ilu ich było, gdzie ich szkolono, jak byli traktowani czy jak się zachowywali. Lepiej przedstawiają się badania nad folksojczami. Kilka lat temu Jerzy Kochanowski – wówczas pracownik Niemieckiego Instytutu Historycznego – zorganizował w Gliwicach konferencję o nich i to nie tylko w Polsce, lecz również we Francji, na Węgrzech i w Czechosłowacji. Pozwoliło to dyskutantom wyprowadzić pewne wnioski porównawcze i zdać sobie sprawę, że prawda czasem jest mniej gorzka, jeżeli uświadomimy sobie, że gdzie indziej występowały takie same zjawiska, a czasem były nawet jeszcze gorsze.

Ryszard Kaczmarek – Polakami w Wehrmachcie na pewno warto się zająć, bo sprawa miała po wojnie reperkusje na Pomorzu i Górnym Śląsku. Wiąże się z tym także służba obywateli polskich w Waffen SS, o której nikt nie wspomina. W literaturze przywołuje się tak naprawdę jedynie przykład Legionu Podhalańskiego, który przecież i tak nie został sformowany.

Sebastian Piątkowski – Kiedy latem 1944 r. front stanął na linii Wisły, także w GG narodziło się kilka niemieckich inicjatyw, mających skłonić Polaków do walki na froncie wschodnim. W pracach naukowych pojawiają się niekiedy drobne przypomnienia takich organizacji, jak Nowa Polska, ale np. o polskiej służbie pomocniczej oddziałów żandarmerii nie pisano dotychczas zupełnie, być może dlatego, że zgłosiło się do niej wielu młodych mężczyzn. W meldunkach konspiracyjnego wywiadu wspomina się o dezorientacji społeczeństwa np. na widok Polaków w niemieckich mundurach, którzy podpici chodzą po Radomiu, śpiewając „Wojenko, wojenko...” i inne piosenki żołnierskie. Oczywiście można mówić, iż liczyli oni na otrzymanie broni i błyskawiczną ucieczkę. Jestem jednak przekonany, że przynajmniej część z nich myślała szczerze o walce u boku Wehrmachtu. Pamiętajmy, że działo się to po latach tragicznych doświadczeń okupacji niemieckiej. Przebadanie genezy takich postaw jest bardzo ważne.

Andrzej Gąsiorowski – Badając te sprawy, należy rozmawiać z ludźmi i przełamywać ich opory psychiczne. Gdy jako młody człowiek zaczynałem studia nad konspiracją, intrygowało mnie, że świadkowie mówili bardzo mało o swej działalności, bardzo dużo o aresztowaniu i śledztwie, a nic o tym, co działo się później. Niemalże nikt nie przyznawał się do załamania w trakcie przesłuchań. Większość mówiła, że załamali się inni, podając nawet szczegółowe opisy; kiedy szliśmy na rozmowy do tych „innych”, wskazywali oni na naszych wcześniejszych rozmówców jako tych, którzy nie wytrzymali. To sprawiało, że przez lata

w książkach i artykułach nie poruszaliśmy tych problemów, zamykając omawianie wielu wydarzeń na momencie aresztowania. Nie chcieliśmy po prostu piętnować tych ludzi, wiedząc, że przeżyli tragedie, ich życie skrajnie się skomplikowało, a teraz mogły na nich spaść kolejne ciosy. W tej chwili patrzę na to inaczej i staram się opisywać nawet te bolesne przeżycia. W jaki sposób młody człowiek, który nie przeżył okupacji, może zrozumieć, dlaczego policja i gestapo miały takie sukcesy w swej pracy, jeżeli nie pokażemy tych wszystkich metod łamania ludzi? Powinniśmy badać to w sposób odpowiedzialny i opisywać, kim był człowiek do chwili załamania się w śledztwie i jak później przedstawiała się jego losy. Bo ci konspiratorzy nigdy już nie byli takimi samymi ludźmi, jak przed aresztowaniem i momentem pęknięcia.

Ryszard Kaczmarek – Chciałbym zwrócić uwagę na pewien istotny fakt: moim zdaniem, jest bardzo zastanawiające, że w Polsce żadnej burzy nie wywołały prace, w których poruszano problem kolaboracji z drugim okupantem, tzn. ze Związkiem Radzieckim. W materiałach ruchu oporu opisywano dużą skalę tej współpracy, szukając czasami analogii do sytuacji pod okupacją niemiecką. Kiedy po 1989 r. zaczęły ukazywać się opracowania zawierające te wątki, żadnego z ich autorów nie oskarżono o zdradę narodową. Tak jakby w społeczeństwie wytworzył się pogląd, że rzeczy zupełnie niedopuszczalne pod okupacją niemiecką były na Kresach Wschodnich dozwolone. Jest to bardzo interesujący przykład, bo przecież poziom zbrodni był tam również olbrzymi, a dla większości środowisk komunizm był ideologią równie daleką jak nazizm.

Sebastian Piątkowski – Ostatnie pytanie: jak w kontekście własnych doświadczeń i naszej rozmowy widzą Panowie przyszłość badań nad niemiecką okupacją ziem polskich i jakie będą ich najważniejsze uwarunkowania?

Ryszard Kaczmarek – Przede wszystkim chcę zauważyć – choć zabrzmiało to nieco dziwnie – że i dzisiaj nie mamy dostępu do całości zasobów archiwalnych, związanych z okupacją. Oczywiście nie ma problemów z aktami przechowywanymi w Polsce i w Niemczech. Zapominamy jednak często, iż nadal ogromne ilości materiałów znajdują się w Rosji. W początkach lat dziewięćdziesiątych wydawało się, że uzyskamy do nich dostęp, ale niestety, klimat polityczny uległ radykalnej zmianie. Dzięki historykom niemieckim, którzy pisali o stanie tego zasobu, wiemy, jakie spośród przechowywanych tam źródeł dotyczą polskich terenów okupowanych. Jest to po prostu masa akt wytworzonych przez hitlerowską administrację cywilną, policję, gestapo i inne struktury. Kiedyś – być może – będzie można je wykorzystać i pogłębić naszą wiedzę. Mówię o tym, dlatego że wiele jednostek archiwalnych nie dotyczy wcale spraw drażliwych w stosunkach polsko-rosyjskich i można by je częściowo sprowadzić do Polski, chociażby w postaci elektronicznej. To problem nie tylko badawczy, ale przede wszystkim archiwalny.

Andrzej Gąsiorowski – Warto walczyć o te materiały. Oczywiście decyzja nie należy do nas, ale dobrze byłoby chociaż przejawiać inicjatywę, aby Rosjanie udostępnili dokumenty niemające wpływu na ich bieżącą politykę.

Klaus Ziemer – W początkach lat dziewięćdziesiątych także w Niemczech panował w tej sprawie powszechny optymizm. Mówiło się nawet, że już wkrótce wszystkie te materiały będą dostępne w kraju w formie elektronicznej. Po kilku latach okazało się, iż ściągnięto tylko ich niewielką część i na tym koniec. O dostępie i kopiowaniu decydowała czasem nie tyle polityka, ile pieniądze.

Chcę podkreślić, że polscy i niemieccy historycy w zasadzie nie mają trudności ze wspólną pracą i to rokuje dobrze na przyszłość. Świadomość społeczna w Polsce i Niemczech jest jednak zupełnie odmienna i trudno będzie wypełnić tę przepaść. Wiele negatywnych emocji rozbudzają w obu krajach media. Trudno jest zresztą wpłynąć poprzez piarstwo historyczne np. na reprezentantów najstarszego pokolenia, które ma własne doświadczenia wojenne. Ale również wśród ludzi młodszych nie jest to łatwe. Kiedy wydaliśmy wspomnianą już książkę o stosunkach polsko-niemieckich w latach 1939–1949, miałem nadzieję, że odbiór społeczny tej problematyki w kolejnych dekadach będzie bardziej pozytywny. Stało się zupełnie inaczej, gdyż przeszłość wciąż wzbudza wielkie emocje. Dzisiaj mam już znacznie skromniejsze oczekiwania. Pamiętam jednak stale, że na historykach spoczywa wielka odpowiedzialność i obowiązek stałego dialogu.

Andrzej Gašiorowski – Dostrzegam w pełni ten problem. W tej chwili jestem autorem i konsultantem koncepcji wystawy „Gdynia w pierwszym okresie okupacji”. Wiele zawartych w niej treści budzi wręcz agresję osób, które nigdy zostały wysiedlone przez hitlerowców z tego miasta. Dopiero kiedy rozmawiamy, tłumaczymy, staramy się wyciszyć emocje – zdobywamy akceptację. Ale pierwszy odruch jest nierzadko naprawdę agresywny.

Ryszard Kaczmarek – To postawa ludzi, którzy pozostali na miejscu, na terenach kiedyś wcielonych do Rzeszy. Ich pamięć i świadomość przetrwały. Zupełnie inaczej zachowują się osoby, które przeżyły okupację w GG. Wydaje mi się, że jeśli chodzi o duże miasta, to z pewnością mieszkańcy Warszawy mają – z racji powstania – bardzo emocjonalny odbiór historii. To samo jest w Gdyni, ze względu na masową skalę wysiedleń. Poczucie krzywdy wśród tych ludzi jest olbrzymie.

Sebastian Piątkowski – Czyli dobrze, jeżeli o trudnych sprawach mówią fachowcy, w sposób rzetelny i bez zbędnych emocji.

Ryszard Kaczmarek – Nawet jeżeli fachowcy mówią zazwyczaj w sposób rzetelny i bez emocji, to inny obraz znajdujemy później w mediach. Masowy odbiorca przyswaja ich przekaz, a nie głos historyków. Cieszymy się dzisiaj, że książka naukowa poświęcona historii rozeszła się w nakładzie 10 tys. egzemplarzy, bo to sukces wydawniczy. Tak naprawdę jednak oznacza to, że dotarła ona przede wszystkim do fachowców i grup pasjonatów, a nie do szerokiego mas. Powszechny odbiorca przyswoi z niej tylko bardzo wąską, spopularyzowaną, na dodatek zazwyczaj wyrwaną z kontekstu treść, o której toczy się później dyskusja w mediach. Gorzej, jeżeli w ślad za tą dyskusją rozpocznie się dyskurs polityczny na takim samym poziomie. Często dzieje się przecież tak, że politycy sięgają po

potrzebne im informacje do mediów, a nie do prac naukowych. Wtedy jest rzeczywiście źle, bo mamy do czynienia z rozmową zupełnie nieprofesjonalną.

Klaus Ziemer – W czasie niedawnej konferencji w Poznaniu dyskusji historyków przysłuchiwał się dziennikarz, który chyba po raz pierwszy był świadkiem takiej debaty. Następnego dnia w lokalnej gazecie ukazał się tekst mówiący, iż tak właśnie powinno być: Polacy i Niemcy dyskutują ze sobą jak równy z równym. Widocznie w mediach panuje zupełnie inny obraz i wszystkim wydaje się, że rozmawiając o historii, prowadzimy rokowania polityczne, a nie dyskusję naukową.

Andrzej Gąsiorowski – Media faktycznie traktują takie dyskusje jak pojedynki, interesując się przede wszystkim tym, kto kogo zwycięży w walce na argumenty historyczne i kto skuteczniej będzie machać naostrzoną szablą.

Ryszard Kaczmarek – Nie oszukujmy się jednak: często nawet w bardzo poważnych gremiach argumenty są wymieniane na zasadzie sporu o to, czyje racje zwyciężą. Brakuje przekonania, że w poznawczej czy interpretacyjnej warstwie w ogóle nie ma zwycięzców.

Klaus Ziemer – I zazwyczaj kończy się to tak, że Polak krytykuje Polaka, a Niemiec Niemca i wszyscy uważają to za normalne.

Sebastian Piątkowski – Na szczęście nasza dzisiejsza dyskusja nie poszła w takim kierunku. Tym bardziej raz jeszcze dziękuję Panom za wzięcie w niej udziału.

Andrzej Gąsiorowski (ur. 1950) – historyk, politolog, profesor nadzwyczajny UG, dr hab. Uniwersytet Gdański – Instytut Politologii i Dział Naukowy Muzeum Stutthof. Zainteresowania badawcze: najnowsza historia Polski ze szczególnym uwzględnieniem problematyki okupacji niemieckiej na Pomorzu 1939–1945, działalności służb specjalnych na Pomorzu, działalności konspiracyjnej w latach 1939–1945, powojennych represji wobec członków konspiracji z lat 1939–1945. Najważniejsze publikacje: *Geneza i początki ruchu oporu na Pomorzu Gdańskim*, Gdańsk 1991; *Polska Armia Powstania. Największa tajemnica pomorskiej konspiracji*, Toruń 1997; *Szare Szeregi na Pomorzu 1939–1945*, Toruń 1998; *Jan Kaszubowski i służby specjalne. Gestapo–Smiersz–UB*, Gdańsk 2008. Współautor: *Wydział Marynarki Wojennej „Alfa” Komendy Głównej Armii Krajowej*, Toruń 2001 (z B. Chrzanowskim); *Polska Podziemna na Pomorzu w latach 1939–1945*, Gdańsk 2005 (z B. Chrzanowskim i K. Steyerem).

Ryszard Kaczmarek (ur. 1959) – historyk, prof. dr hab. Dyrektor Instytutu Historii Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach, specjalizuje się w historii Śląska XIX i XX w. oraz historii narodowego socjalizmu oraz drugiej wojny światowej. Najważniejsze publikacje: *Pod rządami gauleiterów. Elity i in-*

stancje władzy w rejencji katowickiej w latach 1939–1945, Katowice 1998; R. Kaczmarek, M. Kucharski, A. Cybula, *Alzacja/Lotaryngia a Górny Śląsk. Dwa regiony pogranicza 1648–2001*, Katowice 2001; R. Kaczmarek, P. Greiner, *Leksykon mniejszości w województwie śląskim w latach 1922–1939. Zarys dziejów, organizacje, działacze*, Katowice 2002; *Górny Śląsk podczas II wojny światowej. Między utopią „niemieckiej wspólnoty narodowej” a rzeczywistością okupacji na terenach wcielonych do Trzeciej Rzeszy*, Katowice 2006; *Województwo śląskie 1945–1950. Zarys dziejów politycznych*, (red. razem z A. Dziurokiem), Katowice 2007; R. Kaczmarek, *Zwischen Altreich und Besatzungsgebiet. Der Gau Oberschlesien 1939/41–1945* [w:] *Die NS-Gaue. Regionale Mittelinstanzen im zentralistischen „Führerstaat“*, red. J. John, H. Möller, T. Schaarschmidt, „Schriftenreihe der Vierteljahreshefte für Zeitgeschichte“ München 2007.

Sebastian Piątkowski (ur. 1970) – historyk, dr nauk humanistycznych, zatrudniony w IPN Oddział Lublin, Delegatura Radom. Specjalizuje się w historii społeczno-gospodarczej Polski doby nowożytnej i najnowszej. Autor m.in. *Dni życia, dni śmierci. Ludność żydowska w Radomiu w latach 1918–1950*, Warszawa 2006; *Cena poświęcenia. Zbrodnie na Polakach za pomoc udzielaną Żydom w rejonie Ciepłelowa*, Kraków 2007 [wspólnie z Jackiem A. Młynarczykiem].

Klaus Ziemer (ur. 1946) – od 1991 r. profesor nauk politycznych na Uniwersytecie w Trewirze (Trier), od r. 1998 także na Uniwersytecie Kardynała Stefana Wyszyńskiego w Warszawie, w latach 1998–2008 dyrektor Niemieckiego Instytutu Historycznego w Warszawie. Zajmuje się historią najnowszą Polski i stosunków polsko-niemieckich (w tym Polska-NRD) oraz problemami transformacji systemowej w Europie Centralnej. Publikacje m.in.: *Polska – Niemcy Wschodnie 1945–1990. Wybór dokumentów*, red. J. Kochanowski, K. Ziemer, t. 1 (1945–49), t. 3 (1956–57), Warszawa 2006; *Totalitarian and Authoritarian Regimes in Europe. Legacies and Lessons from the Twentieth Century*, red. JW. Borejsza, K. Ziemer, New York/Oxford 2006; *Wahlen in postsozialistischen Staaten*, red. K. Ziemer, Opladen 2003. *Deutsch-polnische Beziehungen 1939–1945–1949. Eine Einführung*, red. W. Borodziej, K. Ziemer, Osnabrück 2000; *Polens Weg in die Krise. Eine politische Soziologie der „Ära Gierek“*, Frankfurt n.M. 1987.